

Candomblé

Przejezdny, przechodząc obok, nie dostrzega nic specjalnego. Wiadomo, za każdą z rozsypujących się ścian tacy sami ludzie, nędza faweli, problemy biedaków brazylijskiego miasta Salvador. Nie zauważa nawet, że mija właśnie świątynię afrobrazylijskiego kultu Candomblé. Tu nie ma jednak niewtajemniczonych. Okoliczni mieszkańcy wiedzą, że za tymi szarymi ścianami mieszkają Bogowie. Tu jest świątynia, tu każdy przychodzi, aby podziwiać taniec Bogów i brać nadzieję, która pozwala walczyć z nędzą.

Z zewnątrz budynek kościoła wygląda jak cały szereg innych, ciągnących się rzędami po obydwu stronach zakurzonej ulicy. Front niemalże rozpadający się ze starości. Taki sam jak wszędzie wokół odpadający, stary tynk. Kilka skarłowaciałych drzewek przed wejściem. Duże poniszczone okiennice, bez wprawionych szyb. Wszystko niepozorne, nie zwraca uwagi swoją biedną szarością.

Inaczej jednak sprawa przedstawia się, kiedy przekroczymy próg dużych drewnianych drzwi wejściowych. Okazuje się, że to ukryty przed zewnętrznym światem kościół. Dom składa się z kilku izb. Położone są one wzdłuż schodzących w poprzek od ulicy schodów. Główne pomieszczenie, „kościół”, to mała sala, licząca może 70 m kw. Dziś cała przystrojona jest odświętnie. Różowe firanki, kokardy, sufit pokryty cienkimi wstążkami z krepiny. Na ścianach niewielkie obrazy i zdjęcia przedstawiające obrzęd, wizerunki bóstw, czarno-białe fotografie ludzi o poważnych, skupionych spojrzeniach. W końcu sali znajduje się przystrojone kolorowymi kokardami podwyższenie pełniące funkcję ołtarza. Dla Europejczyka wszystko wyglądałoby kiczowato, zbyt kolorowo. Różnica gustu, po prostu w Brazylii kolory są dużo bardziej intensywne, jaskrawość nie razi.

Dzisiaj wielkie święto. To specjalny dzień poświęcony bóstwu Oxum (oszum), bogini wody. Dzisiejszy obrzęd będzie w całości upływał pod jej znakiem. Jest to jedno z najważniejszych świąt religijnego roku w Candomblé.

Candomblé. Jest ono praktycznie niedostępne dla zwiedzających Brazylię turystów. Najczęściej można usłyszeć jedynie pogłoski, ukształtowane na podstawie obejrzanych przedstawień teatralnych, które zostają wyreżyserowane na bazie prawdziwych obrzędów. Niewiele jednak ludzi „z zewnątrz” widziało i wie na czym w rzeczywistości polega odprawiany rytuał. Dodatkowego smaku dodaje fakt opętania, które stanowią właściwy rdzeń obrządku. W efekcie powstaje wiele mitów. Nieraz szkodliwych. Utożsamiających Candomblé, podobnie jak haitańskie wudu, z czarną magią, krwawymi ofiarami i zombie. O ile w wypadku wudu można mówić o pewnej zgodności niektórych faktów z niektórymi pogłoskami, to w przypadku Candomblé jest zupełnie inaczej.

Pewien stary mistrz capoeiry powiedział kiedyś, że kultura afrobrazylijska nie ma swoich bibliotek, w żadnych księgach tak naprawdę nie jest zapisana jej historia. Jedyńą taką księgą jest Candomblé, które zawsze było schronieniem dla brazylijskiego ludu, nieformalną instytucją,

która zbierając stare zwyczaje i tradycje, wchłaniając je, czyniła je częściami obrządku.

Wchodzimy do przystrojonej kolorową krepiną sali. Pod ścianami ławki, podwyższenie dla bębnow. Wokół krząta się kilka osób zajętych ostatnimi przygotowaniami. Panuje dziwny zapach. Nasuwa się skojarzenie palonego kadzidła o mydlano-owocowym zapachu. To tancerze okadzają siebie i stroje, dokonując przedrytualnego oczyszczenia.

Decanio, nasz przewodnik i jedna z najbardziej szanowanych osób społeczności, mówi, że trzeba trochę poczekać, bo uroczystość, jak zwykle w Brazylii, opóźnia się. Trwa to jakieś półtorej godziny. To jedna z wielkich tajemnic tego kraju, że wszystko jest spóźnione, a jednak funkcjonuje.

Tak też jest z oczekiwaną ceremonią. Dopiero po dłuższym czasie coś w końcu zaczyna się dziać. Krzątania przybiera na sile. Pojawia się coraz więcej osób na sali. W powietrzu zaczyna się unosić zapach jedzenia, mieszając się z wszechobecnym kadzidłem. Jedzenie jest jedną z pierwszych i najważniejszych części uroczystości. Ma ono chronić uczestników przed niepowołanym opętaniem, ale też dodać sił na resztę wieczoru.

My także musimy obowiązkowo się posilić. Zostajemy wprowadzeni do sali pełniacej funkcję kuchni i jadalni. Pomieszczenie ma niski strop i grube kamienne ściany z małutkimi okienkami bez szyb. W środku jest niewiele miejsca. W panującym półmroku walają się sterty drewna na opał, starych garnków i mnóstwa innych sprzętów niewiadomego pochodzenia i użytku. Reszta pomieszczenia zastawiona jest dużą starą kuchnią węglową oraz podłużnym stołem. Siadamy obok kilku innych posilających się przed uroczystością gości. Gruba, nachmurzona murzynka podaje nam od razu po talerzu wypełnionym buchającym parą pożywieniem.

Machinalnie przypominają się legendy o starych kapłankach Candomblé przyrządzających potrawę z domieszką krwi dziecięcej. Na szczęście są to tylko opowieści, które można usytuować zaraz obok naszej, rodzimej legendy o czarnej wóldze porywającej ludzi, która w latach pięćdziesiątych krążyła po polskich wsiach.

Podano mięso przyrządzane na trzy sposoby, ryż, kilka rodzajów mielonych na papkę warzyw i owoców morza (tradycyjny sposób obróbki pożywienia w Brazylii), oraz ciasto z korzenia manioku. Znalazła się także nieśmiertelna farofa. To także korzeń manioku, ale

utarty. Farofy używa się w Brazylii powszechnie, obsypując nią praktycznie każdy nadający się do spożycia rodzaj jedzenia. Dosyć trudno się do niego przyzwyczaić. Historia brazylijskiej kuchni sięga czasów niewolnictwa, a wówczas jedzono w zasadzie wszystko, co było zdatne do spożycia, zwłaszcza farofę.

W pewnym momencie zwróciłem uwagę na człowieka siedzącego u szczytu stołu i przyglądającego mi się od dobrych pięciu minut. Był to karzeł, wzrostu około 1,40 m, o czarnym kolorze skóry, nienaturalnie wielkiej, bezzębnej głowie i równie wielkim garbie na plecach. Patrzył się na mnie niezwykle intensywnie, z uwagą lustrując to nowe dla niego zjawisko. Była w nim jakaś dziwna siła. Dawało się niemalże wyczuć energię przyczajoną za taksującym spojrzeniem.

Później okazało się, że to on właśnie jest mistrzem ceremonii. Swoim jednostajnym, chropowatym głosem wzbudza w tancerzach szal opętania. To on rozmawia z bogami.

Czym jest Candomblé? Leszek Kolankiewicz w swojej książce „Samba z bogami” podaje prawdopodobną etymologię słowa Candomblé: «...candomblé» miałoby być hybrydą złożoną ze słów «candombe» i «ilé»: gdzie pierwsze to zespole «ka» (w narzeczu kimbundu: zwyczaj) i «ndombe» (w narzeczu kikongo: czarny, murzyński) i znaczy dosłownie «zwyczaj murzynów» – a ściślej: dawne tańce murzyńskich niewolników – drugie zaś to słowo jorubijskie oznaczające «dom». „I to jest pierwszy charakterystyczny rys Candomblé. Mówi się o nim jako o religii afrobrazylijskiej. Jest ono pochodną kultów afrykańskich ludów, głównie plemion Joruba. Przywędrowało do Brazylii razem z falą niewolnictwa, która rozpoczęła się w szesnastym wieku i w niedługim czasie zalała całą Brazylię mieszkańcami Czarnego Lądu. Był to charakterystyczny i ważny moment, nie tylko dla kształtowania się religii afrobrazylijskiej, ale także dla całej tamtejszej kultury. Miejscowi Indianie zostali zmuszeni do interakcji z kulturą czarnych ludów Afryki oraz z ekspansywną obecnością białego człowieka. W konsekwencji nastąpiło jedynie w swoim rodzaju zderzenie trzech kultur, które zaowocowało wielobarwnym synkretyzmem obecnym do dzisiaj, zarówno w kulturze, sztuce, jak i brazylijskiej religii. Tak więc mówi się raczej o zespole różnych kultów niż jednorodnej religii Candomblé. Zależnie od obszaru i rodzaju wpływów, jakim były poddane kultury afrykańskie, powstały różne jego odmiany. Odnaczają się one bądź to do mieszką wierzeń rdzennych mieszkańców Ameryki południowej (np. pajelança), bądź wpływem chrześcijaństwa (umbanda), a nawet obecnością elementów europejskiego spirytualizmu¹ (obydwa poprzednie).

Kończymy jeść koło jedenastej w nocy. Niezauważalnie pojawia się coraz więcej osób. Kiedy wychodzimy z kuchni, w wąskich korytarzach świątyni panuje już głośny gwar. Ludzie piją, jedzą, palą papierosy. Daje się wyczuć nastrój wesołego spotkania towarzyskiego. Co mnie jednak zdziwiło – nigdzie nie ma alkoholu, ani wszechobecnych w Brazylii narkotyków, a sie-

lanka wieczornego spotkania niesie w sobie drugie dno, będące pełnym szacunku oczekiwaniem.

Nagle zaczyna się jakieś ożywienie. Pojawiają się majestatycznie wyglądające kobiety, ubrane w rozłożyste białe suknie i sznury koralu. Wszystkie mają obwiązane na piersiach chusty. Ktoś daje znak, że to już czas, że ceremonia się rozpoczyna.

W głównej sali prawie wszystkie miejsca zajęte, zapchane. Jest duszno i panuje gwar. Wokół rozchodzi się zapach kadzidła. Od razu, przy wejściu następuje podział widowni na męską i kobiecą część. Zostajemy rozdzieleni na dwie gromady, które siadają naprzeciwko siebie, po obydwu końcach sali. Jest około 100 osób. Nie wszyscy mają szansę wejść do środka. Jedni cisną się przy wejściu i pomiędzy ławkami, ci, co zrezygnowali, tłoczą się na zewnątrz, przy dużych, wychodzących na wąskie podwórze oknach. Ta wymarzona publiczność teatralna, niezdominowana przez władzę ponumerowanych miejsc i totalitarnych sektorów, otacza ciasnym, pulsującym kręgiem miejsce, w którym ma spełnić się widowisko.

W jednym końcu sali znajduje się podwyższenie dla bębnow. Obok miejsce dla tych najbardziej uhonorowanych, mistrza ceremonii i najstarszych członków społeczności. Między nimi dostrzegamy naszego przyjaciela Decanio, który umożliwił nam uczestnictwo w rytuale. Pomimo, że panuje nieopisany tłok, środek sali pozostaje wolny. Tu będzie się odbywać ceremonia.

Nagle wszystko przycicha. Na znak prowadzącego kapłana milkną rozmowy i beztroski gwar. Zaczynają grać bębny. Po chwili z trzeszczącego głośnika wydobywa się chropowaty głos kapłana. Ni to śpiew, ni to monolog. Kolejne strofy mantrującej modlitwy zaczynają się wwierać w moje uszy. Ten potok niezrozumiałych słów rozpoczyna ceremonię.

Szczególnie wyraźny jest w Candomblé rys chrześcijański. Przez długi czas wszystkie przejawy zarówno kultury, jak i rdzennej religii wśród czarnych niewolników były konsekwentnie zwalczane przez ich białych panów. W zamian narzucone zostało Chrześcijaństwo jako religia obowiązująca. Jednak wynikiem panującej chryścianizacji wcale nie był zanik dotychczasowych form religii, ale coś wręcz przeciwnego. Oryginalne kultury przywiezione z Czarnego Kontynentu zasymilowały część narzucanego im „białego obrządku”, co zaowocowało specyficznym synkretyzmem w dziedzinie religii. Chrześcijaństwo stało się jakby „płaszczkiem” narzuconym na formy starego obrządku, zmieniając zewnętrzny obraz, nie zmieniając natomiast ogólnych założeń ani istotowego sensu poszczególnych elementów składowych. I tak na przykład większość bóstw mających pochodzenie jeszcze afrykańskie dopracowała się odpowiedników wśród chrześcijańskich świętych, np. Yemanjá to Matka Boska, Oxóssi to św. Jerzy, a Oxumare to święty Bartłomiej.² W ten sposób czarny niewolnik, mówiąc o jednym z chrześcijańskich świętych, w rzeczywistości nawiązywał do bóstwa swej właściwej religii. Możliwe to było jednak nie ze względu na prosty trik mający ratować elementy represjonowane



Początek rytuału Candomblé poświęconego bóstwu Oxala. Na ziemi widać liście, a powietrze wypełnia ich silna, świeża woń i intensywny zapach. Ruchy tańczących powolne, rytm dopiero się wzmaga i stopniowo przyspiesza...



Zaczyna się szybszy i bardziej rytmiczny taniec. Bęben wybija charakterystyczny, łamany porządek dźwięków. Pierwsza postać po lewej, której widać jedynie rękę i głowę zakończy ten wieczór „kontaktem” ze swoim Orixą, który w pełni przejmie jej ciało.

Opętany przez bóstwo, któremu poświęcone jest to terreiro... Powoli zbliża się punkt kulminacyjny ceremonii



Tańczący raz jeszcze zataczają w tańcu symboliczne koło. Ceremonia dobiega końca, lecz wyznawcy i goście przenoszą się teraz na „zaplecze” świątyni, gdzie wspólnie posilą się i wreszcie odetchną z ulgą po kilkugodzinnym tańcu.



Ołtarz rytuału Umbandy stanowiącej inną od Candomblé formę opętańczego kultu. Owoce, ofiary z ptasich piór i kurczaków, w naczyniu po prawej przypominającym bęben- caxasa (wódka brazylijska, tej nocy słaba w smaku, raczej słodka jak wino), której wielkość zostanie dziś wypita. Wiszące na liściach woreczki to „magiczne sakiewki z ziołami Boiadeiro” przynoszące szczęście i pomyślność.

kultury, ale dzięki pewnej odpowiedniości na płaszczyźnie ontologicznej obu religii. W Candomblé jest wiele bóstw (tych, które wcielają się podczas opętań, jest dokładnie szesnaście). Zwą się orixás. Nie są jednak w ścisłym tego słowa znaczeniu bogami, dlatego możliwe jest ich wzajemne przenikanie z figurami katolickich świętych. To raczej bóstwa odgrywające właśnie podobną rolę jak święci w chrześcijaństwie. Każde z nich jest odpowiedzialne za określoną dziedzinę życia zarówno duchowego, jak i materialnego swoich wyznawców. Co charakterystyczne, religia Candomblé, podobnie zresztą jak wiele podobnych kultów z obszaru Ameryki Południowej, jest związana mocno z kultem zmarłych przodków, którzy są niezwykle znaczący w życiu ziemskiej społeczności. Bierze to swój początek jeszcze z afrykańskich kultów, w których wierzone, że zmarli nie odchodzą od razu, lecz przebywają w pobliżu swojej społeczności. Niektóre z dusz zmarłych zyskiwały sobie większy respekt od reszty, stawały się ważne, niekiedy nawet zyskiwały status bóstwa. Takie jest pochodzenie większości afrykańskich orixás.

W pewnym momencie otwierają się drzwi obok podwyższenia dla bębnów. Powolnym tanecznym krokiem do pomieszczenia wkracza dziesięć kobiet ubranych w białe suknie i białe turbany na głowach. To córki bogów, (jak podaje Kolankiewicz tłumaczenie brazylijskiego *filhas de santos*). Wszystkie obwieszone naszytami kolorowych wisiorów i koralami. Niektóre z nich są świętymi naszytnikami, oznaczającymi bóstwo opiekuńcze.

Ludzie zaczynają klaskać i śpiewać, przylaczając się do chropowatego głosu kapłana, płynącego z rozstawionych w rogach sali głośników. Wszystko to wygląda jak jakaś świąteczna, wesoła zabawa wielkanocna i nic specjalnego na razie się nie dzieje. Zaczynam się nawet w pewnym momencie trochę nudzić i rozglądać wokoło w poszukiwaniu co ciekawszych członków uroczystości. Do czasu. W pewnym momencie orientuję się, że bębny grają coraz szybciej i mocniej. Ich rytm zaczyna się jakby ustalać zgodnie z jakąś potężną energią, która uaktywnia się powoli w śpiewie, tańcu, muzyce. Z początku trudno zorientować się co właściwie ulega zmianie, ale karnawałowy taniec, który dało się obserwować jeszcze kilkanaście minut temu, teraz ustępuje czemuś obcemu, nadającemu jednolity wyraz barwnej płataninie korowodu. Czarny karzeł mocniej chwyta przedpotopowy mikrofon i z nową mocą wznowia niemilosierpny, chropowaty śpiew. Monotonnie i głęboko w moim mózgu coś rozpoczyna kołatanie. Robi się nagle bardzo gorąco, wszystko zaczyna pulsować, a ja łapię się na tym, że tańczę razem z całą salą. Oddycham kilka razy głęboko. Rozglądam się w poszukiwaniu znajomych elementów sali i pulsowanie staje się lepsze, dając błogie wytchnienie.

Chwila spokoju kończy się jednak bardzo szybko. Taneczny korowód trwa co prawda dalej, ale niektóre z jego uczestniczek już po krótkim czasie zaczynają się trząść i rytmicznie wyrzucać w różne strony kończyny swojego ciała. Z małych drzwi przy scenie wypadają in-

ne kobiety, ubrane mniej odświętnie (będę je nazywał za Kolankiewiczem *ekedes*, czyli opiekunki opętanych). Zaczęły one obwijać wokół piersi białymi chustami tańczące postacie. Stojąca obok kobieta informuje mnie, że to obwijanie zmusza ogarniętych transem tancerzy do głębszego oddychania przez brzuch.

W Candomblé jest jeden najważniejszy i prawdziwy Bóg, nosi on miano Olórún. Tutaj, tak samo jak w chrześcijaństwie, wyznaje się ontologiczną Jego obecność. Różnica polega jednak na tym, że mimo, że stworzył On świat, to nie jest w ogóle zainteresowany jakąkolwiek weni ingerencją. Dlatego też, mimo, że najważniejszy, to nigdy nie jest on przywoływany podczas rytualnych opętań. Podczas opętań pojawiają się natomiast orixás. Jest ich szesnaście, które opętują i cztery (cztery ostatnie z wymienionych), które nie opętują: Oxalá (pod dwiema postaciami Oxaguia i Oxalufá), Yemanjá, Nanã, Xangô, Ogun, Iansá, Oxum, Obá, Oxóssi, Oxumaré, Omolu-Obaluaié, Euá, Iroko, Logunedé, Ossáim, Ibeji, Ifá, Bâiani, Exu³. Wstępują one w ciała tancerzy, używając ich jako „wierzchowców”, które „dosiadają”⁴.

Właśnie opętanie jest rdzeniem i jedną z niewielu cech wspólnych wszystkim odmianom kultu Candomblé. Nie wiadomo dokładnie, na czym polega, ale przywiezione zostało ono do Ameryki Południowej jeszcze z Afryki, a jego korzenie mogą mieć związek z kultem Dionizosa w starożytnej Grecji. Zostaje wywoływane poprzez rytm wystukiwany na bębnach przy specyficznym sposobie rytualnego tańca. Opętany tancerz zostaje „dosiadany” przez bóstwo, traci na pewien czas indywidualność, niejako „używając” swego ciała konkretnemu bóstwu. Jest to najbardziej charakterystyczny element religii Candomblé. Z tego też powodu niektórzy uważają religię opętań za czczenie ataku choroby psychicznej. Jak jednak wytłumaczyć to, że opętany tancerz zachowuje się w bardzo charakterystyczny sposób, właściwy tylko dla danego bóstwa, które pojawia się na wezwanie przypisanego tylko jemu rytmu muzycznego, najczęściej podczas poświęconych mu świąt. Augusto Decanio, emerytowany lekarz i mistrz capoeira, od dawna zajmuje się fenomenem oddziaływania niektórych rytmów na człowieka.

– Muzyka jest trwale związana z naturą człowieka. Od zawsze była mu potrzebna, aby żyć i prawidłowo funkcjonować. Natomiast niektóre dźwięki pobudzają bardziej, wywołują gwałtowne emocje. Tak właśnie jest w przypadku Candomblé.

Decanio mówi, że ten rodzaj muzyki, oparty na mocnej grze bębnów (*atabaque*), przy udziale metalicznego dźwięku dzwonków (*agogo*), stymuluje i wprowadza tancerzy w stan opętania. Co ciekawe, każdemu z bóstw odpowiada inny rodzaj opętania, stymulowany przez specjalnie zarezerwowany rytm.

Przybywają bogowie! Trzęsące się kobiety są sygnałem, że zaczyna się właściwa część ceremonii. To pierwszy atak. Trwa niespełna godzinę i charakteryzuje się gwałtownym przypływem niekontrolowanej energii. Jest jak wystrzał tłumionych przez ludzi emocji. Panuje stan pełnego oszołomienia i ekscytacji.

Podczas gdy kolejne kobiety padają na ziemię w konwulsyjnych drgawkach opętania, bębny jeszcze przyspieszają swą grę, niezauważalnie zmieniając rytm. Ludzie zgromadzeni na sali wybuchają energią, jakby rozjuszeni pierwszymi opętaniami. Tłum faluje, wyrzucając z siebie radosny wrzask, który zderza się z górującą ponad wszystkim grą bębnów, dudniących niczym niezachwiany chór, nadający wszystkiemu jakiś odgórnie narzucony sens muzycznych fraz. Niekontrolowany szal trwa do czasu, aż wszystkie przebrane na biało kobiety zostaną opętane.

Szaleńczy występ kończy się przerwą. Tancerki znikają gdzieś, wyprowadzone przez wtajemniczone kobiety, te same, które obwiązują wcześniej chustami ich ciała. To, co się działo dotychczas, było tylko nieukierunkowanym wystrzałem energii. Nie dało się jeszcze dostrzec charakterystycznych cech poszczególnych opętań. Rytuał nie nabrał jeszcze właściwego sobie kształtu. Teraz następuje czas rytualnego posiłku. Ludzie muszą znowu się pożywić, aby mieć siłę na zbliżające się spotkanie z bóstwami. Na dużych liściach podano *watapa*, tradycyjny posiłek składający się z mielonych krewetek i farofy, zmieszanych z ugotowanymi na twardo jajami i rozdrobnionym chlebem.

Przerwa trwa około pół godziny. Głośne śpiewy ustępują na pewien czas miejsca ożywionym rozmowom, które stopniowo budują opanowujący pomieszczenie wesoły gwar. Na chwilę znowu wszystko wygląda jak wieczorne spotkanie, w którymś z miejscowych barów. Po niedługim czasie wracają jednak bębny. Ich donośny dźwięk, na razie powolny i majestatyczny, zwiastuje powrót rytuału, w ściślejszym tego słowa znaczeniu.

Bardzo ważne jest wychwycenie specyfiki mszy Candomblé, podczas której sfera *sacrum* pojawia się i odchodzi, z pozoru zupełnie chaotycznie i spontanicznie zamierzając na rzecz hurgotu ciżby, która oblepia ze wszystkich stron puste pomieszczenie rytualne. Zrozumienie, że to co święte, to co rytualne, wyradza się i przeplata z gwarem rubasznej, głośnej zabawy, z żywiołowym, pełnym energii spotkaniem lokalnej społeczności, jest niezbędnym kluczem do zrozumienia istoty zjawiska mszy Candomblé.

Candomblé było prześladowane, tak jak ludzie, którzy je uprawiali. Z powodu niemożności uprawiania jakiegokolwiek aktywności kulturowej zaczęto je więc postrzegać nie tylko jako religię, ale także jako ostatni bastion zatrzymujący w sobie wszystko to, co zwalczała dominująca wówczas kultura europejska. Stało się więc ono swego rodzaju encyklopedią, która zapisywała w swoim obrządku wszystko to, co ważne było dla Afrobrazylijczyków: zarówno sztukę, kulturę, jak i życie po prostu.

Bardzo ważna jest ta codzienność, złączenie candomblé z prostym życiem. *Sacrum* „wychodzi” ze świątyni na ulicę. Przepaja ją, nadając sens codziennym ludzkim sprawom, ale też biorąc z powrotem do świątyni to, co żywiołowe i twórcze, a z życia właśnie płynące. Nadaje to candomblé silnego motywu karnawałowego. Rytuał jest zawsze niezwy-

kle głośny, radosny, pozornie przypominający właśnie zabawę karnawałową, ale jednocześnie powala bezpośredniością autentycznego przeżycia. Oczywiście karnawałowe uniesienie, które towarzyszy rytuałowi, nie jest główną jego częścią. Gdyby tak było, to stałby się on właśnie brazylijskim karnawalem. Wydaje się, że tajemnica tkwi w muzyce. Święte rytmy, obecne przez cały czas trwania ceremonii, narzucają porządek, wymuszają wręcz stopniowe przeobrażanie się karnawału w ceremonię. Mówi się, że Candomblé „zagląda” w ludzką duszę. Być może jest tak, ponieważ jego rytmy są skonstruowane w taki sposób, aby wyrzucać i oczyszczać, wyrzucać na zewnątrz to, co głęboko ukrywane.

W katolicyzmie chwila obcowania z Bogiem jest zawsze czymś najbardziej prywatnym, niedostępnym dla innych. Podczas gdy w Candomblé mamy do czynienia z intersubiektywizacją tego doświadczenia. Staje się ono czymś obiektywnym właśnie poprzez uwspólnienie go w rytuale pełnym radości, muzyki i tańca. Mógłby ktoś powiedzieć, że to samo dzieje się w obrządku katolickim, choćby podczas mszy świętej, nie mówiąc już np. o pielgrzymkach lub dużych zgromadzeniach wiernych. Lecz mimo wszystko chwila, gdy na ołtarzu zostaje dokonana święta ofiara, jest przeżywana przez każdego z wiernych z osobna. Będzie ona doświadczeniem prywatnym. Dla każdego nieskończenie indywidualnym i intymnym, a przez to świętym.

W Candomblé ludzie wytwarzają ten ołtarz wspólnie. Poprzez muzykę i wspólny taniec społeczność staje się jednością dzielącą się doświadczeniem religijnym. Świętość staje się prosta i czytelna. Dogłębnie porusza właśnie poprzez swoją oczywistość. Maya Deren w swojej książce „Bogowie haitańskiego Wudu” poświęconej pokrewnej Candomblé religii wuduistycznej pisze, że cywilizacja zachodnia zatraciła już zdolność tego jednania się w religijnym uniesieniu. Podczas gdy w Katolicyzmie każdy sam przeżywa uniesienie religijne, w rytuale wudu dochodzi do uwspólnienia doświadczenia *sacrum*, które poprzez swój wymiar społeczny, poprzez to, że wszyscy biorą w nim udział, oczyszcza całą społeczność.

Rozmowy znowu cichną. Jak na komendę tłum przeradza się z biesiadników na powrót w ofiarników. Nadeszła właściwa część uroczystości. Sala wypełniona jest po brzegi rozemocjonowanymi ludźmi. Jest gorąco, niemal nie do wytrzymania. W powietrzu unosi się duszny zapach kadzidla, zmieszany z wonią potu. Kobiety pojawiają się znowu przy dźwięku bębnów. Wchodzą na salę tym samym rytmicznym, rozkołysanym krokiem, znamionującym stan głębokiego transu. Tym razem nie mają już na sobie białych sukien. Ich stroje różnią się teraz od siebie kolorami i stylem wykończenia. Każda z nich dzierży w rękach małe przedmioty, jak np. miniaturowy miecz, tarczę lub sierp. Odmienność kostiumów ma znamionować konkretnych bogów, którzy opętali poszczególne tancerki. Kobiety pochodzą wygląda teraz naprawdę imponująco. Robią wrażenie potężne, strojne suknie, skrzące się błyszczącymi nićmi i wszywanymi, różnokolorowymi świecidełkami.



Widać, że na przygotowanie każdej z nich przeznaczono wiele czasu i pieniędzy. Prawdopodobnie są one warte więcej niż całoroczny zarobek zakładających je kobiet, dla których wielkim zaszczytem jest przywdziewanie tych rytualnych kostiumów oraz to, że one właśnie zostały wybrane do opętańczego tańca.

Każda suknia odznacza się swoim indywidualnym krojem, barwą i rodzajem dzierzonych przez tancerki atrybutów. Są to ozdoby przynależne poszczególnym bóstwom. Toteż każda z kobiet musi oddzielnie zaprezentować charakter swojego bóstwa. Tancerki rozpoczynają powolny taniec wokoło sali. W utworzonym przez tłum kręgu ukazują się ludziom *orixás*, jakby na specjalnym pokazie mody, zdominowanym przez boskich modeli. Ten taniec trwa przez pewien czas. Uderzenia bębnow i chroboczący śpiew karłowatego kapłana stają się coraz głośniejsze. Owocuje to intensyfikacją transu, któremu poddane są kobiety. Każde z bóstw porusza opętanych przez siebie ciałem za pomocą specyficznego, przynależnego tylko sobie rodzaju tańca. Korowód nabiera rozpędu, a rozdygotane, wijące się kobiety rozpychają napierający na nie tłum. I w tym momencie muzyka się urywa. Opiekunki w białych sukniach usadzają powoli nieświadome kobiety na ziemi lub na krzesłach w jednym rogu sali, zostawiając wolne miejsce pośrodku pomieszczenia. Zapada absolutna cisza. Dzieje się coś niezauważalnego, a bardzo ważnego, czego współuczestnikami stajemy się także my, obserwatorzy uroczystości. Niekończący się nastrój oczekiwania.

Nagle wszystko znowu wybucha. Bębny i mistrz ceremonii zaczynają szaleć ze zdwojoną mocą. Tłum jak na komendę dostaje ataku, wszystko faluje i rzuca się wspo-

magając potężną falę rytuału. Jedna z barwnie ubranych tancerek-bóstw zaczyna krzyczeć. Wstaje i dostaje spazmatycznych drgawek, to samo dzieje się w różnych częściach sali. Tuż obok mnie upada w tym momencie na ziemię i zaczyna się wić stojąca dotychczas w tłumie kobieta. Od razu białe opiekunki podbiegają obwiązać ją chustami. Jak się dowiaduję od stojącej obok mnie kobiety, to jest tak zwany niekontrolowany trans. Bardzo źle widziany podczas tego typu uroczystości przez miejscową społeczność. Nazywa się go tak, ponieważ osoba opętana nie przeszła wymaganej inicjacji, która zezwala na wzięcie udziału w ceremonii, a samo opętanie odbywa się bez przygotowania, które ma wspomóc opętywaną. Moja informatorka dodaje jeszcze:

– Widocznie przyszła tu z jakimś dużym, nierozwiązanym problemem w swojej duszy.

W tej części ceremonii każde z bóstw przedstawia swój taniec. Każda z Murzynek po kolei ukazuje kwintesencję opętującego ją bóstwa. Odbywa się to za pomocą różnej symboliki, przy innym rytmie. To prezentacja mocy bóstw, kwintesencja odprowadzania rytuału.

To ostatnia, uporządkowana część uroczystości. Potem wszystko pogrąża się w szaleństwie wspólnego tańca i dudnienia bębnow. Rytuał zaczyna zatracać znowu swój uporządkowany wyraz. Jakiś elegancki mężczyzna w garniturze pada także ofiarą opętania. Widzę jego twarz wykrzywioną grymasem napierającej furii. Kobiety mające nad wszystkim pieczę muszą obwiązywać jego ciało ręcznikami, bo brakuje już białych chust. Tłum faluje, wydiera się, wyśpiewuje kipiącą na sali energię. Ludzie zaczynają mieszać się jak w wielkim huczącym tyglu z białymi służkami, niezmordowanymi bębniarzami i bóstwami *orixás*.

Potem już tylko zmęczenie. Jest godzina czwarta w nocy. Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się w tak-sówce, razem z Decanio. Czuję zmęczenie, ale też jakieś cudowne ukojenie, jakby świat magii *orixás*, który zostawiłem za sobą w fawelach Salvadoru, podbudował i wzmocnił moją słabą, europejską duszę.

Zdjęcia pochodzą z innych niż opisany w tekście rytuałów opętańskich. Wykonał je Adam Marciniak podczas pobytu w brazylijskim Salvadorze. W trakcie festiwalu Mediatravel, który ma się odbywać pomiędzy 18-24.04.05 w Łodzi autor zdjęć będzie opowiadał o Candomblé i pokazywał swój materiał filmowy.

Bibliografia

Leszek Kolankiewicz: *Samba z bogami*, wydawnictwo KR, 1995
Maya Deren: *Bogowie haitańskiego Wudu*, wydawnictwo A, 2000

Przypisy

- 1 Dane zaczerpnięte z *Samby z bogami* Leszka Kolankiewicza
- 2 Dane zaczerpnięte z książki *Samba z ogami* Leszka Kolankiewicza
- 3 Zaczerpnięte z *Samby z bogami* Leszka Kolankiewicza
- 4 Sformułowania zapożyczone z książki Mai Deren *Bogowie haitańskiego wudu*.



Bóstwo zaczyna tańczyć wykorzystując jako medium ciało swego wyznawcy. Zbliża się koniec ceremonii.